

Robert T. Preys

Bitwa o Układ Słoneczny

Jedynym dowodem na to, że istnieje jakaś pozaziemska inteligencja, jest to, że się z nami nie kontaktuje.

Albert Einstein

*Dedykuję pokoleniu sięgającemu gwiazd.
Emilii, Amelii, Krzysztofowi oraz Inez
Robert Preys*

Impuls dobiegający do mojej świadomości i błysk czerwieni przedzierający się poprzez zamknięte powieki wyprowadzały mnie z głębokiego snu.

„Co jest?” – pomyślałem, zanim myśl o alarmie dotarła do mojego rozumowania.

Oprzytomniałem błyskawicznie i sięgnąłem po leżący na stoliku obok łóżka zegarek. Co ja opowiadam? Urządzenie wielofunkcyjne otrzymane w wojsku. Jestem tradycjonalistą, więc nie zgodziłem się na wszczepienie implantu do rdzenia kręgowego. Teraz, już całkowicie rozbudzony, ubierałem się błyskawicznie, a przy okazji zakomunikowałem na urzędzeniu aktywność.

Czerwonego alarmu nigdy nie używano.

Zielony – ogólny do wszystkiego.

Żółty – ćwiczenia.

Niebieski – tylko do spraw ważnych lub ostrych manewrów wojskowych.

Czerwony – był zarezerwowany wyłącznie do natychmiastowych działań zbrojnych.

Jako 16-latek poszedłem do szkoły wojskowej, aby zostać żołnierzem zawodowym. Później przedłużyłem naukę o kolejne stopnie i wyładowałem w akademii sił kosmicznych. Teraz w randze porucznika miałem zasłużony trzymiesięczny urlop po ukończeniu akademii. Oczekiwałem na przydział, ale jaki przydział? Na nowiutki, spod igły, kosmiczny niszczyciel Atlantyda.

– Dokąd się wybierasz? – usłyszałem pytanie zatroskanej matki.

– Muszę jechać, mam. Coś w jednostce, nie wiem, ale jakbym wiedział, to...

– I tak byś mi nie powiedział – dokończyła matka. – Masz wszystko? Może zrobisz ci kanapki? Ale przecież masz urlop! Sam mówiłeś, że przez trzy miesiące nie ma cię dla wojska.

– Wiem mam! Ściągają mnie w połowie urlopu, widocznie coś ważnego. „Może Atlantyde oddano do użytku przed planowanym terminem” – pomyślałem. Ale zaraz! Obsadzenie jednostki zaplanowano dopiero za siedem miesięcy. Wiadomość o przydziale otrzymałem niejawnie od Nataszy. Oficjalnie miałem dostać przydział po powrocie do jednostki z urlopu. No, ale jak się ma dziewczynę w wywiadzie, to wiadomo. W sumie to niedługo będą cztery lata, jak się poznaliśmy w akademii.

– Dobra, zrób mi te kanapki. Powiedz tacie, że zabieram auto. Wróci w trybie automatycznym.

– Słyszę – odparł ojciec, stając w progu drzwi wejściowych do pokoju syna. Począł, aż żona pójdzie do kuchni i spojrzał pytająco na młodego oficera.

– Nie wiem, tato, co jest grane, ale – ściszyłem głos – czerwony alarm.

– O kur... – zaciął się ojciec, nie kończąc słowa.

Ojciec nie służył nigdy w wojsku, ale pracował jako strateg i planista w projektowaniu obiektów, w tym wojskowych. Obecnie, na wcześniejszej emeryturze, nadal z zamiłowaniem bawił się w strategię działań i analizy ekonomiczne, dorabiając w wolnym czasie, po prostu by coś robić. Coś mi w genach przekazał i sam obrałem specjalizację w obszarach strategii i planowania wojskowego.

– Kontaktowałeś się z Nataszą?

– Nie. Zresztą pewnie śpi, jest tak samo na długim urlopie jak ja.

– Na pewno w wywiadzie przy czerwonym alarmie nie podrywają ich w pierwszej kolejności – stwierdził z sarkazmem ojciec.

– Skontaktuję się z nią później – zrobiłem skrzywioną minę, na co ojciec ponownie spojrzał pytająco.

– Dobra, powiem. Mamy umowę, że przez pierwsze dwa miesiące nie będziemy się kontaktować w żaden sposób. To egzamin na uczucia, tęsknotę i przemyslenia przed podjęciem pewnej życiowej decyzji.

– A, rozumiem! – Ojciec poklepał mnie po ramieniu.

– Co rozumiesz? – zapytała matka, dając znać, że wszystko w kuchni przygotowane.

– Później wszystko wyjaśnię. Jadę, kochani, trzymajcie się.

– Z Bogiem, synek! – Mocno uścisnęliśmy się z ojcem, a matka dodała:

– Tylko uważaj na siebie! – Pocałowała mnie w czoło tak jak niegdyś, gdy byłem jeszcze małym chłopcem.

Ruszyłem z kopyta i wiedziałem, że ojcu się to nie spodoba. Po pięciu kilometrach wjechałem na trasę szybkiego, autonomicznego ruchu. Samochód natychmiast zwolnił do przepisowych prędkości 120 km/h. Wyłączyłem ogranicznik i przyspieszyłem. Pojazd uniósł się nad powierzchnią asfaltu po przekroczeniu 180 km/h. System antygravitacyjny funkcjonował bezbłędnie.

Sygnał połączenia. Odebrałem.

– Cześć, kochanie! – zabrzmiał twardy głos Dana. To tak, jak kiedyś się pomyliłem, zwracając się do stojącego za mną Dana z przekonaniem, że nadal stoi za mną Natasza. Tak mu to zostało i teraz nabija się ze mnie przy każdej nadającej się okazji przywitania.

– Ja też cię kocham – odparłem z sarkazmem. – Co słyszeć u największego nieroba we flocie?

– To ty mi powiedz, dlaczego jedziemy, bo rozumiem, że ciebie też wezwano. Inaczej nie odebrałbyś połączenia w środku nocy.

– No wiesz, elita podporuczników i to technicznych. – Nie dokończyłem, zastanawiając się nad wymyśleniem jakiejś szpili. Dobra, bez jaj, nie mam pojęcia. A moje źródło milczy. Nie mogę się połączyć z Nataszą.

Nagle połączenie zostało zawieszone.

– Tu policja! Wzywam do identyfikacji kierowcy i wyjaśnienia przyczyn nadmiernej prędkości?!

– Identyfikacja: porucznik Tom Pirs, kod alarmowy cztery cztery cztery osiem cztery cztery.

Po krótkiej przerwie policjant odezwał się ponownie.

– Weryfikacja i autoryzacja kodu potwierdzona, wprowadzamy do systemu prawo pierwszeństwa drogowego. Szerokiej drogi.

Nie wiem, czy rozmawiałem ze sztuczną inteligencją, czy z prawdziwym policjantem, jednak po chwili błysnęły niebieskie światła pojazdu i policjant przeleciał, pędząc tuż nad moim samochodem. „No, ci to dopiero mają przyspieszenie” – pomyślałem.

– Co jest!? – Powróciło połączenie z Danem.

– Miałem na ogonie policję. Zapomniałem wbić kod do systemu auta, aby wysłać powiadomienie do drogówki o wezwaniu alarmowym do jednostki.

– Ja jadę na autonomicznym. Mam bliżej i czekam z kawę na ciebie.

– OK. Widzimy się w jednostce. Dojadę za jakiś dwie godziny.

Zjechałem z trasy szybkiego, autonomicznego ruchu i zbliżałem się do jednostki. Już z daleka zauważyłem zwiększoną lunę światła, a na wjeździe zrobił się spory korek. W końcu dojechałem do parkingu. Wsiadłem z zabranym z domu bagażem. Włączyłem automatyczny system kierowania pojazdem i popatrzyłem, jak samochód sam odjeżdża, wracając posłusznie do domu. Pewnie zajmie mu to trzy razy więcej czasu niż mnie w tę stronę, ale w sumie chyba ojciec nigdzie się nie śpieszy. W razie potrzeby wezwie miejską automatyczną taksówkę.

Tłumy ludzi jak na bliskowschodnim bazarze. Pakunki, sterty sprzętu, biegający żołnierze, kolumny pojazdów. Na pasach startowych dziesiątki samolotów i helikopterów. W powietrzu zbliżające się światła, jedno za drugim, w podejściach do pasa lotniska siadała cała eskadra samolotów transportowych.

Moje urządzenie wielofunkcyjne piknęło. Będę je nazywał zegarkiem, bo noszę je na nadgarstku, tak jak mój ojciec nosi prawdziwy zegarek jeszcze z końca XX wieku. Sprawdziłem i podłączyłem interfejs komunikacyjny.

– Zgłasza się porucznik Tom Pirs – powiedziałem. „Już mnie mają” – pomyślałem beznamietnie.

– Witam! – odezwała się miła kobieta, a może tylko miły głos sztucznej inteligencji. – Proszę udać się do hali dwieście osiemdziesiąt siedem, stanowisko A pięćdziesiąt pięć. Przesyłam koordynaty lokalizacji.

Włożyłem okulary i już miałem wyświetlony plan przejścia. Podjechała platforma i dołączyłem do innych, aby przemieścić się na wskazane miejsce. Instrukcje przychodziły bez chwili opóźnienia. Tu wsiąść, tu wysiąść, tam przejść itd. Muszę zaznaczyć, że sama baza, gdzie znajdowała się moja jednostka, była wielkością zbliżona do obszaru małego miasta. W końcu dotarłem do hali 287, wejście A, korytarz 5, stanowisko 5.

„Stanowisko”? Skromnie powiedziane. Hala jak trzy sportowe, a na jej szczycie podest, z którego dobiegał znajomy gardłowy głos majora Dantego. Ogólnie same nieznajome twarze. Część osób z widzenia rozpoznawałem a to z akademii, a to z ćwiczeń oraz zajęć w jednostce. Moi zdaniem jednak za mało. Przedzierałem się ku przodowi.

– Tom! Tom! Poruczniku Pirs!

– O, jesteś! – zawołałem na Dana.

Podszedłem do grupki kilkudziesięciu osób, która trzymała się razem. Wszyscy z naszej jednostki, czyli z naszej paczki.

– Cześć wszystkim! – powiedziałem i zrobiłem gest ręką. Niektórzy odpowiedzieli, a niektórzy, pochłonięci rozmową, tylko skinęli głowami lub w ogóle nie zareagowali.

– Gdzie kawa? Obiecałeś czekać z kawą – zwróciłem się z udawaną pretensją do Dana.

– Ja już po drugim kubku. Tam jest automat, zaraz pójdziemy.

– Dobra, czego się dowiedziałeś?

– Jeszcze nic konkretnego. Stary Borg, to jest major Borg, tylko drze się na podoficerów z kwatermistrzostwa, aby poganił swoich.

– A ty coś wiesz więcej? – zapytał stojący obok Peter. Oczy kilku osób spojrzały w moją stronę.

– Nic. Dlaczego tylko część naszej jednostki jest tutaj? – rzuciłem ogólne zapytanie.

– Mój były dostał lokalizację do hali osiem A, to po drugiej stronie bazy, zaraz przy głównym wejściu. Lokalizacje otrzymaliśmy natychmiast po przybyciu do bazy – odpowiedziała Elżbieta.

– Były? – zawtórował uwodzicielsko Dan. – Pani porucznik Elżbieta jest wolna od zobowiązań, znaczy... w kwestii cywilnej?

– Możesz sobie pomarzyć, Dan – odpowiedziała z podniesionym środkowym palcem ku górze.

– Ela, to znaczy, że nasza jednostka została rozwiązana? – zapytałem, a może stwierdziłem.

– Jeszcze przed urlopem. Na koniec akademii. Po urlopie mieliśmy otrzymać nowe przydziały. Nie pamiętasz?

– No tak, chociaż nie przyszło mi to do głowy. Na koniec akademii bardziej myślałem o wyrwaniu się z tego ula i nieźle balowaliśmy po egzaminach końcowych. Byłem przekonany, że w większej liczbie będziemy razem służyć na przydzielonych okrętach. A gdzie zgranie zespołowe, na które tak naciskali w trakcie szkolenia?

– Uwaga, za trzy minuty baczność! – rozległ się z głośników komunikat. Ogarnęliśmy się w miarę w jakiś tam porządek i za chwilę staliśmy jak struny, czekając na komendę „spocznij”.

– Spocznij! – zakomunikował starszy rangą oficer. – Jestem major Borg. Dla nielicznych już znajomy, ale szybko nadrobimy z pozostałymi. Przedstawiam oficerów, z którymi będę miał honor i zaszczyt dowodzić niniejszą jednostką.

Tutaj major Borg wymienił wszystkich stojących nieopodal kapitanów, majorów, pułkowników, a na samym końcu generała kapitana Tima Powella.

Trzeba nadmienić, że siły kosmiczne nie zastosowały rang z marynarki wojennej, a raczej bliżej było im do określania stopni lotnictwa, poza pewnym wyjątkiem. Niezależnie od stopnia dowódca statku kosmicznego, a w tym przypadku okrętu sił kosmicznych, miał podwójny stopień oficerski, aktualnie posiadany wraz z kapitańskim.

Do przodu wysunął się generał kapitan Tim Powell.

– Oficerowie, podoficerowie, żołnierze! Panie i panowie! Dokładnie pięćset osób składa się na personel niszczyciela Atlantyda. Mamy honor zostać załogą najnowszego okrętu militarnych sił kosmicznych wchodzących w skład międzynarodowych sił obronnych Ziemi. – Po całej hali rozległo się echo westchnień i podniecenia słuchających tych słów ludzi. Po chwili generał-kapitan kontynuował:

– Wiem, że dla wielu to duże zaskoczenie. Przydział do nowej jednostki, na nowy okręt, który miał być oddany od użytku dopiero za pół roku. Przed nami wiele pracy. Musimy ujarzmić i poznać całą masę nowych zagadnień i specyfiki technicznej, aby nasz okręt i nasza załoga wypełniała powierzone zadania. Wszyscy przeszliście drobiazgowo szkolenia. Dziesiątki godzin na symulatorach. Tygodnie praktycznej służby na okrętach floty Europy, N-Ameryki i Afryki. Jesteście gotowi?!

– Gotowi! – odpowiedziało 499 głosów z ust obecnych zebranych w hali numer 287.

Udawałem zaskoczonego, choć od Nataszy wiedziałem wcześniej o przydziale, ale nie mogłem pary puścić z gęby, żeby nie miała problemów. W końcu to informacje poufne.

Kilka dni w bazie i już byliśmy transportowani wahadłowcami po setce osób na platformę niskoorbitalną, gdzie cumował nasz okręt. Teraz mogłem go podziwiać w całym okazałym kształcie. Długi na ponad dwieście metrów, kilka pokładów. Nie wiem, czy by się zmieścił na koronie większego stadionu. Smukła, szpiczasta sylwetka, niemal w ciemnym grafitowym kolorze. Na boku w odbiciach światła połyskiwała nazwa ATLANTYDA.

Baza okrętu stanowiąca maszynownię, w tym główne napędy, mostek i systemy sterujące, znajdowała się jeszcze niezespolona z korpusem, na którym było miejsce na uzbrojenie, magazyny, szpital, kantinę oraz koje, czyli pokoje dla obsady. Korpus stanowił zarazem pancierz, w który jak w pudełku zapalek chowała się baza. Naturalnie korpus stanowił siedemdziesiąt procent całego okrętu. Pierwsze takie rozwiązanie. Każda część mogła funkcjonować w pewnym stopniu samodzielnie. Baza jednak była bezbronna poza korpusem, a korpus bez bazy miał tylko silniki manewrujące. Ogólnie dowództwo, jak nam oznajmiono, chce przygotować kilka konfiguracji korpusów do jednej bazy, ale to jest jeszcze odległa przyszłość.

Bardzo mi się spodobała ATLANTYDA. Miałem już wcześniej szkolenie na wielozadaniowej fregacie Afryka, a później kilka tygodni na najnowocześniejszym z całej floty krążowniku Europa.

Zakwaterowali mnie w pokoju albo, jak kto woli, kajucie wraz z Danem. Ledwo się rozejrzałem, a on już padł na wyro jak nieżywy.

– Tylko nie chrap – rzuciłem, ale bez odzewu.

Dni i noce na pełnych obrotach. Spanie po kilka godzin na dobę i to też z przerwami. Dziś już na łóżku, a nie w hangarach na ziemi.

Miałem dość i byłem wykończony, ale sen nie przychodził. Nieraz tak mam. Jak się zbyt narobię, to zmęczenie nie daje mi zasnąć. Zazdroszczę Danowi. Ten to

nawet w kantynie, w kolejce po posiłek przymykał oko i odpływał. Dobrze, że cucilem go zawczasu, bo wyróżniałby łbem o pokład kilka razy. W sumie wiedziałem, kiedy to nastąpi. Ogólnie gęba mu się nie zamyka i gada, gada, aż nagle się zacina. To znak, że odpływa i tutaj mój łokieć albo pięcha ląduje w jego żebrach.

Leżałem, rozmyślałem i analizowałem zamiast po prostu zasnąć.

„Czemu ten niszczyciel akurat nazwali Atlantyda? Może zabrakło im kontynentów?”

Pierwszym okrętem sił kosmicznych była korweta. A że składali się na nią wszyscy pod egidą ONZ – nadano jej nazwę Antarktyda. Później powstały właśnie wspomniana wcześniej fregata wielozadaniowa Afryka oraz potężny pancernik Azja. Choć był to niewystępujący obecnie temat w marynarce, który zakończył swoją funkcję z końcem II wojny światowej, to powrócono do pomysłu pancernika w doktrynie obronnej Ziemi.

„Późniejsze produkcje to... niech sobie przypomnę... N-Ameryka i S-Ameryka, bliźniacze lotniskowce kosmiczne. Który był najpierw? Mało istotne. A obecnie dołączył do tego grona nasz niszczyciel Atlantyda”.

Budowę prowadzono modułowo, transportując poszczególne elementy do stoczni na orbicie okołoziemskiej poprzez transportery, wahadłowce i windy kosmiczne. Cały montaż odbywał się na orbicie. Ziemia dysponuje trzema stoczniami, w tym dwie są przeznaczone na cele gospodarczo-cywilne.

Ludźkość posiadała bazy na Księżycu i Marsie oraz kilka platform obronnych w okolicach orbit Wenus, Marsa i Jowisza.

W 2038 roku o mało nie doszło do wojny. Wspierane przez Europę Stany Zjednoczone Ameryki Północnej kontra Chiny wraz ze sojuszniczą Rosją. Oba te mocarstwa postawiły swoje interesy ponad rozsądek. Wtedy właśnie teleskopy radiowe na całym świecie odebrały sygnały, które były właściwie odpowiedzią na wciąż wysyłane z Ziemi komunikaty o naszym istnieniu. No i się doczekaliśmy. Niewielka planeta K. 470223 w układzie słonecznym K. T. 4702... Coś tam, coś tam o powierzchni siedemdziesięciu ośmiu procent powierzchni Ziemi dało o sobie znać. Określili swoją nazwę planety jako Lucja, więc natychmiast podchwycycono, aby ich nazywać Lucjanami.

Ludzie wpadli w panikę. Notowania na giełdach poszły w dół, zaczął się kryzys i powstały duże niedobory. Nastął czas apatii i oczekiwania. Na szczęście widmo wojny odeszło w zapomnienie. Zapanował strach, a następnie wszczęto międzynarodowe działania prewencyjne, mające na celu zorganizowanie systemów obronnych na wypadek inwazji. Nikt początkowo nie zdawał sobie sprawy, z jak rozwiniętą cywilizacją mamy do czynienia i jakie to pociągnie za

sobą zagrożenia. W ciągu dwudziestu lat zorganizowaliśmy w miarę możliwości systemy obrony satelitarnej, orbitalnych platform i powstały pierwsze okręty kosmiczne: korweta Antarktyda, fregata Afryka i pancernik Azja.

Ze względu na odległość ponad dziesięciu lat świetlnych pierwsze spotkanie i wymiana delegacji dyplomatycznych nastąpiło dopiero w 2054 roku. Nawiązaliśmy, jak się później okazało, dobre kontakty i podjęto w miarę możliwości wymianę gospodarczą, technologiczną oraz kulturalną.

Lucjanie to stworzenia rozumne bardzo podobne do ludzi. Ich cywilizacja sięga przeszło stu tysięcy lat ziemskich, ale nigdy nie byli szybcy w postępach technologicznych. Może to z braku konfliktów. Pojęcie wojny jest u nich w ogóle nieznane i niezrozumiałe. Nigdy też nie korzystali z ropy naftowej czy innych surowców kopalnianych, choć na ich planecie występujących. Wiele nas nauczyli, jak korzystać z minerałów, które występują na Ziemi, a my nie mieliśmy zielonego pojęcia o ich zastosowaniu. To tak, jakby zapytać Araba w 1780 roku, co zrobić z ropą naftową. W gruncie rzeczy przy wykorzystaniu ich wiedzy i dostarczonych pierwiastków, które tylko śladowo występują na Ziemi, rozwiązaliśmy problem energetyczny.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że Lucjanie mają dowody na istnienie obcej gatunkowo nam rasy w układzie K 666999, odległej o ponad sto czterdzieści lat świetlnych. Przez tysiąclecia Lucjanie odnajdywali szczątki pojazdów kosmicznych. A to coś spadło na powierzchnię, a to natrafiano na coś w przestrzeni kosmicznej i nie zawsze wyglądało to bezpiecznie. Lucjanie nie są zdobywcami ani wędrowcami. Podróże kosmiczne w obrębie własnego układu planetarnego odbywają głównie w celach pozyskania minerałów oraz w celach badawczych. Jednak ich wiedza i możliwości obserwacyjne są na o wiele wyższym poziomie niż nasze. Ziemia była już obserwowana przez Lucjan od przeszło pięciuset lat. Wiedzieli, że spełnia warunki do rozwoju życia, a jak później odkryli, również cywilizacji. Podjęli kontakt dopiero po upewnieniu się, że poziom naszej cywilizacji jest dużo niższy, a odległość będzie barierą nie do przebycia na naszym etapie rozwoju przez kolejne setki lat. Myślę, że chcieli nas poznać wcześniej i podjąć ewentualne kroki zaradcze, gdyby się okazało, że jesteśmy groźącym im gatunkiem drapieżnym. Należy również stwierdzić, że to my jesteśmy pierwsi na linii odległości z gatunkiem, który tak niepokoi Lucjan, o dobre dziesięć lat świetlnych bliżej.

Poczułem czyjś oddech na twarzy i otworzyłem oczy. Blisko, a nawet zbyt blisko rozpoznałem roześmianą gębę Dana.

– Wstawaj, kochanie, bo prześpisz życie, a nasze życie we flocie jest okresowo nieprzewidywalne.

– Odwal się! – burknąłem.

– Jak chcesz, ale za piętnaście minut odprawa oficerska.

– Co?! Która godzina? – Spojrzałem na wyświetlacz, który wskazywał 10.00 rano czasu pokładowego. Spałem dwanaście godzin. Zrobiło mi się głupio.

Zebrałem się w sobie i już po dziesięciu minutach w pełnym umundurowaniu, odświeżony, szybkim krokiem ruszyliśmy na odprawę. Po drodze dołączyła Elka.

– Jak panienki się wyspały? – zapytała ironicznie, przewracając oczami. Nie odpowiedzieliśmy, bo wpadliśmy zza rogu na majora Dantego.

– Jeszcze nie na miejscu! Dupy w troki i jazda! – pogonił nas, ale i jeszcze innych, idących za nami. Dobiegliśmy do sali narad.

– Panie i panowie oficerowie! – rozpoczął pułkownik Oliwier. – Był czas, aby się wyspać, wypić i zapalić.

– Szesnaście godzin luzu. Też mi rarytas – skomentowała cicho Elżbieta.

– Teraz – kontynuował pułkownik – rozpoczynamy kolejny etap realizacji zadania. O celu naszej misji dowiedzie się na następnej odprawie, jak tylko rzucimy cumy od platformy. Teraz pełna gotowość manewrowa. Od wszystkich wymagam szczególnej uwagi, precyzji i perfekcji. Nie ma już miejsca na błędy. Skończyły się symulacje i każdy błąd może mieć poważne konsekwencje. Wiecie dobrze, że kosmos jest śmiertelny i niejeden już się o tym przekonał. Otrzymacie za chwilę przekaz z zadaniami. Proszę się z nimi zapoznać i do roboty – zakończył pułkownik. Spojrzał tylko na generała, który dał znać, że jeszcze ma coś do powiedzenia.

– Hmm! – odchrząknął. – Planowane odcumowanie godzina dwunasta zero zero czasu pokładowego. Macie jeszcze państwo chwilę na połączenia z bliskimi. Mogę tylko powiedzieć, żebyście wykorzystali jeszcze tę chwilę i możliwość połączenia przez łącze platformy. Później będzie nas obowiązywała cisza radiowa, a nie zapowiada się krótki spacer. Tyle mogę teraz powiedzieć. Przypominam o zasadach poufności. Wszelkie próby przekazania informacji wojskowych będą przez algorytm śledzone i zakończą się przerwaniem połączenia i naganą. Dziękuję.

Po chwili wszyscy otrzymali krótkie wiadomości z przydziałem zadań. Spojrzałem również na swój zegarek. Punkt pierwszy brzmiał „Zgłosić się do ambulatorium”. „Co jest, do cholery” – pomyślałem i ruszyłem w kierunku szpitala pokładowego.

– Porucznik Tom Pirs – zameldowałem się w recepcji. Wskazano gabinet i czekających przed nim kilku ludzi. Właśnie wyszedł z pokoju jakiś gość, trzymając się za ucho. Potem kolejny i kolejna, aż przyszła i na mnie pora.

Wszedłem i od razu pielęgniarka po sprawdzeniu tożsamości przystąpiła do działania.

– Zaraz! – powiedziałem podniesionym głosem i chwyciłem ją za nadgarstek.

– Jakiś problem, żołnierzu? – zapytał stojący nieopodal lekarz.

– Żadnych chipów! Mam w kontrakcie wpisane zastrzeżenie – odpowiedziałem stanowczo.

– Nie dotyczy służby na okręcie kosmicznym w akcji bojowej. Czytał pan małe literki w umowie pod gwiazdką? – odpowiedział lekarz.

Cholera, może i tak było. Nie przypuszczałem, że armia skorzysta z tego zapisu.

– Więc, poruczniku? – Lekarz spojrzał na dane w karcie. – Pirs – dokończył. Mam skontaktować się z pana przełożonym? Jeszcze jest możliwość wysiadki i zakończenia kariery w wojsku.

Wiedziałem, co ma myśli. Wykopanie z okrętu, zerwanie kontraktu. Zostanę bez roboty, bez pieniędzy, bo zablokują mi wszystko, co posiadam w ramach odszkodowania za szkolenia i jeszcze będę dwadzieścia lat pracował na spłatę długu. Tylko gdzie znajdę zatrudnienie, jak cała moja wiedza jest związana z wojskiem? Pięć tysięcy rozważań przeleciało przez moją mózgowicę w czasie jednej sekundy. Karta wojskowa zabagniona, nawet do najemników mnie nie przyjmą. Co najwyżej na ciecica do sklepu.

– Nie trzeba – odpowiedziałem. – Zapomniałem o klauzulach w umowie. Puściłem rękę pielęgniarki, która rozmasowała z grymasem na twarzy nadgarstek.

– Przepraszam – zwróciłem się do kobiety.

– Przeżyję – odpowiedziała i przystawiła pistolet strzykawkę za moje ucho.

Najpierw lekkie ukłucie, trzy sekundy później jakby mnie coś uderzyło. Zrozumiałe, że to pierwsze było znieczuleniem.

– Musi się pan przyzwyczaić – powiedział lekarz. – Przez kilka dni będzie pan odczuwał opuchliznę, później przejdzie. Proces wyjęcia komunikatora jest bezbolesny i będzie można się go pozbyć po powrocie z misji.

Wyszedłem, trzymając się za ucho podobnie jak wcześniej obsłużeni goście gabinetu. Coś wirowało mi w umyśle. Początkowo szumiało, potem piszczało aż do takiego poziomu częstotliwości, że się zatrzymałem. Pisk był coraz cieńszy i przyprawiał mnie już o granice bólu. Przytrzymałem się ściany i zamknąłem

oczy. Nagle wszystko ucichło. Nie słyszałem nic poza biciem własnego serca i oddechem. Ogłuchłem!

Szedłem dalej, przytrzymując się ściany. Ktoś coś do mnie mówił. Chyba pytał, czy coś mi jest. Machnąłem ręką i pokazałem kciuk, że wszystko jest pod kontrolą. Zaniepokojona osoba oddaliła się niepewnie, a ja pozostałem nadal głuchy. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do ambulatorium. Nagle moja świadomość została poinformowana o połączeniu. Praktycznie natchnieniem odebrałem niewidzialną informację.

– Gdzie ty się, do kopyta, podziewasz? – usłyszałem znajomy głos Dana z jego charakterystycznym zamienianiem przekleństw na odpowiedniki słowne.

– Zaraz, Dan, byłem w ambulatorium. Wszczepili mi to ustrojstwo do komunikacji i nic innego nie słyszę oprócz ciebie.

– Aaa – wymamrotał Dan. – Mówilem, abyś temat załatwił już dawno, a ty się upierałeś. Ja mam chipa w rdzeniu kręgowym, tak jak większość, i jest spoko. Zaraz ci przejdzie. Pamiętasz, ja nie mogłem się przyzwyczaić dwa tygodnie, a ty masz pewnie tylko komunikator za uchem. Dobra, mamy mało czasu, więc kończę i muszę jeszcze pogadać z moimi na Ziemi. Tobie też to radzę.

Chciałem sięgnąć do zegarka i wywołać połączenia z rodzicami, ale zanim tego dokonałem, mój własny interfejs za uchem już mnie łączył pomimo niewykonania żadnego ruchu ręką. „To musi działać na podświadomość” – pomyślałem. Rozmowa z rodzicami była krótka, ale ciepła. Mama dopytywała się, kiedy wrócę, ale ojciec mnie tłumaczył, że nie o wszystkim mogę powiedzieć. Skończyliśmy i od razu pomyślałem o Nataszy. Niestety nadal była poza zasięgiem czy też poza możliwościami kontaktu.

Mostek górny był już obsadzony. Miałem swój przydział przy stanowisku obok nawigatora. Pośrodku przy swoim stanowisku dowodzenia dumnie zasiadał kapitan-generał Tim Powell.

Pułkownik Oliwier meldował o sprawności wszystkich systemów okrętu.

– No to zaczynamy – powiedział kapitan Powell – Odbijamy od platformy. Sternik, rozpocząć połączenie z korpusem okrętu.

Baza powoli oddalała się platformy i wsuwała w korpus, by stanowić wkrótce całość maszyny, której nazwa brzmiała Atlantyda. Napływały meldunki z poszczególnych sektorów i systemów.

– Połączenie bazy z korpusem w pełni wykonane i uszczelnione – zameldował pułkownik Oliwier. – Okręt gotowy do wyjścia z portu kosmicznego.

– Nawigator! Wprowadź pierwszy kurs z bazy szyfrów – rozkazał kapitan Powell.

– Pierwszy kurs, wykonać – powtórzył pułkownik Oliwier.
– Tak jest! Pierwszy kurs wprowadzony i wykonany – potwierdził nawigator.

Okręt tym razem drgnął odczuwalnie. Włączyły się silniki główne. Przy silnikach manewrowych praktycznie nie odczuwało się, czy obiekt się porusza.

– Strateg – zwrócił się do mnie kapitan. – Proszę wyliczyć najbezpieczniejszą realizację kursu drugiego i przekazać do nawigacji.

– Tak jest – odpowiedziałem.

Robota nie była taka prosta. Obliczenie strategiczne najlepszego kolejnego kursu należało do strategii działań bojowych nie mniej ważnych niż sama strategia ruchów operacyjnych. Rozbicie okrętu o inny statek kosmiczny lub o złom, którego po tylu latach podboju kosmosu jeszcze mnóstwo krążyło nieopodal Ziemi pomimo jego ciągłego usuwania, jest sztuką wymagającą skupienia. Robota trochę podobna do pracy kontrolerów ruchu powietrznego na lotniskach. Bez sztucznej inteligencji i superkomputera nie ma szans bezpiecznie przelecieć nawet do Księżyca.

– Koordynaty wykonane i przesłane do nawigacji – zameldowałem po pewnym czasie.

– Nawigator, wprowadź kurs numer dwa do automatycznego wykonania po dotarciu na punkt wyznaczony kursem numer jeden – polecił generał kapitan Powell.

– Rozkaz potwierdzam do realizacji. Wykonać! – dodał pułkownik Oliwier.

– Potwierdzam! Kurs numer dwa wprowadzony w system automatyczny – zameldował nawigator.

– Sternik! Dziesięć procent mocy i ruszamy – polecił kapitan Powell. – Spojrzał na Oliwiera i skinął głową.

– Tak jest, potwierdzam, dziesięć procent mocy. Startujemy!

– Tak jest – odpowiedział kobiecy głos.

Patrzyłem na Elkę, która w pewnej chwili odwróciła głowę w moim kierunku i puściła do mnie mało zauważalne oczko. Następnie pociągnęła przepustnicę. Przez okręt przetoczyło się drganie. Silniki plazmowe wprowadziły w ruch niszczyciel obierający kurs zakodowany w umyśle sztucznej inteligencji.

Okręt był wyposażony w trzy silniki główne plazmowo-fuzyjne oraz dwa eksperymentalne silniki wykonane z udziałem technologii pozyskanej od Lucjan. Czy była to ciemna materia, czy też inne pierwiastki z ich planety, tego nie wiedziałem. Natomiast wiedziałem o naukowcach, którzy kręcili się często

w maszynowni, jak mi opowiedział Dan. Pomimo że gęba mu się nigdy nie zamykała, o tym, co robili i jak funkcjonują nowe silniki, nie puścił ani pary z pyska.

Mostek górny był większy i mogło się znajdować na nim więcej ludzi. Dolny zaś miał być wykorzystywany w trybie bojowym i byłem tam tylko przez chwilę w czasie zapoznawania się z oprzyrządowaniem.

Kapitan rozkazał otwarcie przesłon i cała górna część mostka oraz przednia ściana wypełniła się aktualnym obrazem przestrzeni kosmicznej. W rogu przesuwiał się obraz Ziemi. Była cudowna. Błękitna planeta, prawdopodobnie najpiękniejsze zjawisko planetarne naszego poznanego wszechświata. Nawet Lucja nie była choćby w połowie tak przepiękna. I pomyśleć, że 2038 roku mogliśmy ją sami zniszczyć.

Kantyna rozbrzmiewała podekscytowanymi głosami. Siedzieliśmy z Danem, Peterem, Elką i Anną. Każdy opowiadał o swoich przeżyciach z pierwszej wachty. Miejscami przerywaliśmy sobie, bo nikt nie mógł wytrzymać, a emocje i radość co jakiś czas przekraczały granice wstrzemięźliwości, toteż wybuchaliśmy śmiechem. Wypijaliśmy właśnie po drugim piwie, kiedy wtargnęła do mojej świadomości myśl o połączeniu, wwiercając się z całą stanowczością. Zanim zdałem sobie z tego sprawę, usłyszałem głos Nataszy.

- Cześć! – powiedziała, a mnie zamurowało.
- Co, zatkało kakao?
- To ty? – Nadal nie mogłem uwierzyć, tak mnie to zaskoczyło.
- A co? Kogo się spodziewałeś?
- Cześć, kochanie. Próbowałem się z tobą połączyć, ale nie mogłem.
- Wiem – odpowiedziała. – Teraz już możemy.
- Gdzie jesteś, czemu nie dawałaś o sobie znać?
- Mieliśmy przecież układ, nie pamiętasz?
- Zaraz, ale jak? Przecież jest cisza w eterze!?
- Domyśl się, skarbie.
- To ty cały czas jesteś na Atlantydzie? Bardzo się zdziwiłem.
- Mam jeszcze dwie godziny przed zmianą, więc możemy się spotkać.
- Naturalnie, gdzie cię szukać?
- Wysyłam namiary. Do zobaczenia wkrótce. Pozdrów Elkę, Dana i całą paczkę.

– Skąd wiesz...? – zaciąłem się wpół zdania. No tak, lokalizator i dział wywiadu, w którym służyła Natasza. Wszystko było jasne. Pożegnałem się z przyjaciółmi i po trzech minutach obejmowałem już Nataszę.

Dwie godziny upłynęły jak z bicza trzaśł i musiała iść na swój dyżur. Nie było nawet czasu pogadać. Szczęśliwy wracałem, zastanawiając się, czy pójść do kantyny, czy do kajuty. Wybrałem w myślach Dana.

– Gdzie jesteś? – zapytałem.

– A gdzie miałbym być? W kantynie. Zabawa się rozkręca. Chodź i zabieraj Nataszę ze sobą.

Wyczułem w głosie lekkie podchmilenie przyjaciela.

– Poszła na dyżur. Zaraz przyjdę – odpowiedziałem i w tym momencie usłyszałem jakby uderzenia w korpus okrętu. Zawyły syreny, światła migały czerwienią, a do głowy dotarł sygnał alarmu. Popędziłem na stanowisko, choć zmiennik miał obecnie dyżur na mostku. Przed wejściem wyrósł nagle przede mną strażnik. Machnąłem zegarkiem w jego czytnik i nic się nie stało. Poleciałem, aby wprowadził mój kod dostępu awaryjnego. Drzwi natychmiast się otworzyły. Widocznie sztuczna inteligencja stwierdziła, że mogę być przydatny. – Cześć, Edmund! Jak mogę pomóc? – zapytałem kolegę z trwającej wachty przy moim stanowisku.

– Trzeba przeliczyć korekty kursu. SI sobie nie radzi, zbyt dużo napływa sprzecznych danych.

Rozejrzałem się za wolnym miejscem.

– Idź na mostek dolny – machnął głową Edmund.

Pobiegłem i dopadłem do stanowiska. Kilka osób kręciło się nieopodal. Większość z ekipy naukowej, rozpoznałem wśród nich Lucjan. O, nieźle i nikt nie raczył nam powiedzieć, że lecą z nami obcy... W końcu nowy napęd musiał wymagać konsultacji i serwisu. Że też Dan nic nie powiedział. Już ja mu się odwzajemnię!

– Halo! Natasza, tak, jestem na stanowisku. Możesz mi powiedzieć, co się dzieje?

– Na kursie mamy pełno odłamków – odpowiedziała Natasza.

– To widzę na sensorach, ale skąd się wzięły, skoro jeszcze niedawno kurs był czysty?

– Ekspłodował wahadłowiec – odpowiedziała. – Połowa wyższego dowództwa wyparowała.

Pracowałem, słuchając uważnie Nataszy.

– Połowa dowództwa? – Z niedowierzaniem powtórzyłem informację.

– Tak. Polecieli na ostatnią odprawę na Europę. Wszyscy nasi i obsługa wahadłowca, ostatniego w zasięgu platformy. Wahadłowiec miał naszych odstawić i wracać na Ziemię.

– Może wałnął w nich meteoryt?

– Nie! To była eksplozja od środka. Przyczyną była awaria albo zamach.

– Awaria? Niemożliwe. Sam latałem co nieco na wahadłowcach. Mają słabą powłokę, dlatego bardzo dobrze są wyposażone we wszelkie sensory i czujniki. Piloci musieliby dostrzec niebezpieczeństwo. Chyba że faktycznie sabotaż, ale po co i komu by na tym zależało?

– Tego nie wiem. Muszę kończyć.

– Poczekaj! Tutaj jest Lucjanin?

– Odkryłeś Amerykę. No jasne, i to kilku. A no tak, przecież nie miałeś dostępu do informacji. Dan ci nic nie wyśpiewał – raczej stwierdziła niż zapytała Natasza.

– Kilku? – Nieco się zdziwiłem i zakończyłem rozmowę.

– Podporuczniku Dan – wezwałem do połączenia kumpla.

– Tak, zgłaszam się, co potrzeba?

– Mam odczyty, że napęd nie jest uszkodzony. Czy możesz potwierdzić?

– Potwierdzam.

– Dziękuję. A później pogadamy.

– Tak? O czym?

– O Luckach.

Dan wyłączył się bez pożegnania. Wiedział sporo o tym, co dzieje się w maszynowni. Miał nie tylko przydział, ale i hopla na temat nowych cudów w technologiach napędowych.

– Poruczniku – wywołałem Edmunda. – Przesłałem koordynaty, możesz zatwierdzać.

– Dzięki, stary. Czy coś zauważyłeś?

– Nie, kurs bez zmian. Wiem o eksplozji. Sugeruję włączyć aktywne sensory bliskiego zasięgu. Może przyczyną była zabłąkana ceramiczna mina kosmiczna?

– Poczekaj chwilę. – Edmund meldował sugestie pułkownikowi Oliwierowi.

– Nie ma zgody. Lecimy na sensorach pasywnych. Wychodzimy z pola odłamków.

– Co z krążownikiem Europa? – zapytałem.

– Byli dużo dalej, ale nasi wszyscy zginęli. Żadnej kapsuły.

„Żadnej kapsuły” – pomyślałem. „Wahadłowce mają tylko jedną kapsułę i do tego głównie wykorzystywaną jako lądowisko tam, gdzie nie może wylądować wahadłowiec”.

Po godzinie odwołano alarm i poszedłem do kantyny. Miałem nadzieję, że spotkam kogoś z naszej paczki. Atmosfera była przygnębiająca. Podano komunikaty o osobach, które poniosły śmierć w eksplozji. Dokładnie połowa wyższego dowództwa naszego okrętu, w tym generał-kapitan Tim Powell. W sumie dwanaście osób plus dwóch członków załogi wahadłowca. W kantynie krążyło pytanie, co dalej. Byliśmy raczej przekonani, że przyjdzie rozkaz powrotu na Ziemię.

Najpierw jednak otrzymaliśmy rozkaz pobrania broni ręcznej. Zgłosiłem się do zbrojowni i odebrałem mój przydzielony pistolet. Chłopaki z oddziału szturmowego obsadzali strategiczne punkty okrętu. Niektórzy w ciężkim uzbrojeniu. Czyżby obawiano się kolejnego sabotażu? Pomyślałem, że to lepsze rozwiązanie, aby wszystkim dać broń, aniżeli być jak kaczką w przypadku większej liczby uzbrojonych sabotażystów. Tacy mogliby w kilka osób opanować mostek i maszynownię.

– Poruczniku Pirs – odezwała się sztuczna inteligencja. – Proszę się zgłosić na odprawę do pułkownika Oliwiera Kita.

– Potwierdzam.

W sali odpraw byli już wszyscy oprócz pełniących wachtę. Pomyślałem, że oni już wiedzą, co nas czeka, albo się dowiedzą dopiero po odprawie. Zastanawiałem się, czy dokonano zmiany kursu. Chciałem skontaktować się z Edmundem, ale dałem sobie na razie spokój.

– Witam państwa! Przejdę od razu do rzeczy – zakomunikował pułkownik Oliwier Kit.

– Otóż, jak wiecie, doszło do wypadku wahadłowca i śmierć poniósł nasz kapitan Tim Powell oraz wyżsi oficerowie. – Tutaj wymienił wszystkich ze stopnia i nazwiska. – Powołano specjalną komisję do zbadania przyczyn katastrofy. Tym zagadnieniem zajmie się dowództwo na Ziemi. Nam wydano rozkaz kontynuowania misji. Zostałem mianowany dowódcą tego okrętu.

– Teraz przejdę do celów i zadań wyznaczonych nam przez dowództwo, ale przedtem kilka słów wprowadzenia. Dwa miesiące temu nasze sensory dalekiego zasięgu wykryły niestandardowy ruch w Pasie Kuipera. Wytraconych ze swych dotychczasowych orbit zostało kilkaset skał, które zmierzają w kierunku Ziemi. Zbliżają się w formacjach sześciu fal i dotrą do Ziemi za cztery miesiące. Przypuszczano początkowo, że to naturalne zjawisko wywołane dużą asteroidą, która niefortunnie uderzyła w Pas Kuipera pod odpowiednim kątem, jednak równy układ fal nie wskazywał na naturalne pochodzenie tego zjawiska. Nasza platforma obserwacyjna w pobliżu orbity Jowisza posiadająca na wyposażeniu najbardziej zaawansowane sensory dalekiego zasięgu wykryła obiekty

nieznanego pochodzenia, które znajdują się w Pasie Kuipera. Wywiad ustalił, że mogą to być statki kosmiczne obcej cywilizacji.

Wyświetlono grafikę i zdjęcia z kosmosu.

– Sygnatura cieplna, promieniowania i układ formacji wskazuje, że mogą to być siły wojenne. Zagadnienie skonsultowano z Lucjanami.

Kilka osób spojrzało na obecnych Lucjan będących na odprawie.

– Posiadając lepszą, zaawansowaną technikę obserwacji, nasi przyjaciele z Lucji potwierdzili nasze obawy. Nie wiadomo, jaką technologią obcy dysponują, ale przekierowanie setek skał w stronę Ziemi i nadanie im odpowiedniej prędkości może świadczyć o złych zamiarach obcej floty.

– Jak mogły dolecieć z tak daleka?

– Ile ich naliczono? – padły z sali pytania.

– Tego jeszcze nie wiadomo. Muszą zapewne dysponować technologią znacznie przewyższającą osiągnięcie prędkości światła. Raczej nie wierzę, aby korzystali z hibernacji lub podróży pokoleniowej. Chyba że żyją znacznie dłużej niż my.

Po pomieszczeniu przeszedł szum krótkich komentarzy.

– Odpowiadając na pytanie – kontynuował – naliczono sto dwadzieścia cztery jednostki obcych i liczba ta wzrasta. Pod sygnaturą mogą się ukrywać formacje.

– Dlaczego nie odwołano misji po katastrofie wahadłowca? – zadał pytanie jeden z oficerów. Spojrzałem w jego kierunku, to był Peter.

– Słuszne pytanie – odpowiedział pułkownik. – Otóż dowództwo uznało, że pomimo braków załoga jest na tyle wyszkolona, że powinna sobie dać radę z wykonaniem misji. Stwierdzono ponadto, że posiadamy wysoce wykwalifikowaną pomoc naukową. – Tutaj skłonił głowę w kierunku grupki cywilnych naukowców łącznie z Lucjanami. – Ta pomoc naukowa obejmuje obowiązki pomocnicze w poszczególnych działach technicznych. Dokładnym przydziałem i uzupełnieniem zajmie się podpułkownik Stell. Nasza misja polega na wykonaniu wyrwy i rozbiciu maksymalnej liczby pędzących ku Ziemi skał pierwszej fali. Następnie mamy przeprowadzić uruchomienie eksperymentalnego napędu i przedostać się na tyły obiektów kosmicznych, czyli poza Pas Kuipera.

Poczułem ciężar w klatce piersiowej. Przedarcie się przez rumowiska skalne, nie mówiąc już o niewiadomej liczbie obcych obiektów z prędkością jak na razie trudną do określenia, nie mieściło mi się w głowie, ale pewnie również i w obwodach sztucznej inteligencji.

– Po minięciu orbity Marsa stajemy się niezależną, samodzielną jednostką operacyjną. Jak wiecie, kontakt z Ziemią będzie miał spore opóźnienie, a po

przekroczeniu Pasa Kuipera może być wręcz niemożliwy. Spodziewamy się również zakłóceń w nawiązaniu kontaktu z naszą flotą.

– Teraz sytuacja taktyczna. Poruczniku Pirs, proszę przedstawić aktualne pozycje naszej floty.

– Tak jest! – Ruszyłem przed siebie i stanąłem obok pułkownika. Natychmiast wyświetliłem plan taktyczny floty.

– Przepraszam, miałem mało czasu na szczegóły materiału. Uzupełnienie otrzymacie państwo niezwłocznie, jak tylko spłyną ostatnie dane.

– Najbliżej obcych obiektów znajduje się nasza fregata wielozadaniowa Afryka, nadal zbliżając się do wyznaczonego celu. W sukurs podąża pancernik Azja. Te dwa okręty będą miały sposobność sprawdzić siłę militarną obcych i stawić zdecydowany opór. Najpierw jednak będą musiały przejść przez strefę pędzących odłamków skalnych i tak jak my zniszczyć lub zmienić ich trajektorie w jak największej liczbie.

– Lotniskowiec N-Ameryka również znajduje się przed nami, ale z uwagi na czas lotu będzie stanowił wsparcie pancernika dopiero w późniejszym okresie. Do ochrony lotniskowca jest przydzielona korweta Antarktyda. Nie wiadomo jeszcze, czy obcy będą dysponowali myśliwcami lub innymi jednostkami bojowymi. Natomiast drugi lotniskowiec, S-Ameryka, zajmie pozycję przy orbicie Marsa. Wsparcie i ochrona lotniskowca będą w zasięgu stacji kosmicznej i platform obronnych planety. Nie mam informacji co do ewentualnej ewakuacji kolonii na Marsie.

– A co z ewentualną obroną Ziemi? – padło pytanie jednego z uczonych.

– Baza na Księżycu, cztery platformy orbitalne, artyleria konwencjonalna i jednostki rakietowe dalekiego zasięgu. Jeżeli chodzi o siły kosmiczne, to pozostaje osiem trałowców do rozstawiania punktowych kosmicznych pól minowych. Doktryna na wypadek wojny zakłada prowadzenie działań poza orbitą Marsa. Prawdę mówiąc, Ziemia nie jest przygotowana do odparcia znacznego ataku z kosmosu.

– Dziękuję, poruczniku – wtrącił się pułkownik. – Jak widzimy, cała taktyka opiera się na niedopuszczeniu obcych w pobliże naszej planety. Nie byliśmy przygotowani na taki scenariusz. Pokojowe nastawienie naszej cywilizacji uszczupliło nakłady na siły zbrojne. Dokładnie mamy w pamięci wyścig zbrojeń sprzed dwa tysiące trzydziestego ósmego roku, a później zjednoczenie wysiłków i powstanie sił kosmicznych w obawie przed Lucjanami do roku dwa tysiące pięćdziesiątego czwartego. Jak się okazało, nasze obawy były zbędne. Lucjanie w swojej stutysięcznej historii cywilizacji nigdy nie zaznali

wojny. Mam nadzieję, że i tym razem będzie podobnie i osiągniemy porozumienie z obcymi. Być może tak jak my, oni też obawiają się nas i stosują środki odstraszania. Wiele gatunków biologicznych na Ziemi stosuje taką metodę w przypadku zagrożenia. Udają groźniejszych, niż są albo nawet drapieżnika.

Kilku naukowców potakująco kiwało głowami.

– Dowództwo fregaty wielozadaniowej otrzymało rozkaz nawiązania dialogu. Nie możemy też użyć siły bez wyraźnego zagrożenia lub bezpośredniego ataku.

– Czy skierowanie kilkuset meteorytów w stronę Ziemi nie jest już aktem agresji? Przecież jeśli choćby kilka z nich przedrze się przez nasze pozycje, to spowoduje poważne straty na skalę globalną, a może i apokalipsę jak za dinozaurów? – Pytanie zadał ten sam naukowiec co poprzednio.

– Bardzo dobre pytanie – odpowiedział pułkownik. – Trzeba jednak za wszelką cenę spróbować porozumienia. Nie wiemy dokładnie, dlaczego próbują nas zaatakować. Zadaniem floty jest zniszczenie nadlatujących skał, zanim dotrą do Ziemi. Mamy w tym już pewne doświadczenie. Wiem, że macie państwo jeszcze wiele pytań, ale przejdźmy do wykonywania zadań. Porucznik Pirs prześle państwu niebawem pakiet informacji bieżących. Dziękuję! – zakończył pułkownik Oliwier Kitt.

Wyszliśmy na korytarz i zaraz udałem się do kajuty. Za parę minut była moja zmiana na mostku.

– I co, podbudowany? – usłyszałem za sobą głos Elżbiety.

– Raczej zaskoczony. Wymiatają w kierunku Ziemi setki meteorytów, a za nimi nie wiadomo, ilu jeszcze leci obcych, a on mówi o jakimś dialogu albo że to oni się nas boją? Brednie, mówię ci, Elka, że to brednie. Widzimy się na mostku. Narka – odpowiedziałem i przyspieszyłem kroku.

*Książka dostępna również w wersji audiobooka na AUDIOTEKA.PL , LEGIMI.PL